

<http://olsztyn.wyborcza.pl/olsztyn/7,48726,24439426,od-krzyzakow-po-bolka-i-lolka-czyli-co-polakow-i-niemcow-laczy.html>

Od Krzyżaków do Bolka i Lolka, czyli co Polaków i Niemców łączy, a co dzieli

Tomasz Kurs
6 lutego 2019 | 16:00

Takiego dzieła jeszcze nie było. I wcale nie dlatego, że liczy ponad 5 tys. stron w aż dziewięciu tomach.

„Polsko-niemieckie miejsca pamięci” to efekt projektu naukowego, największego realizowanego w specyficzny sposób przez polską instytucję – Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie – pod kierunkiem profesorów Roberta Traby oraz Hansa Henninga Hahna z Oldenburga. Dlaczego piszemy o specyficznym sposobie? Bo na tytułowe miejsca polskiej i niemieckiej pamięci jego autorzy spojrzeli z perspektywy obu krajów.

„Miejsc pamięci...” wcale nie należy rozumieć geograficznie. Bardziej jako symbole wspólne dla historii Polski i Niemiec. Są tu więc: ** Ziemie Odzyskane/utracony Heimat, ** Wersal, Jałta i Poczdam, ** Auschwitz, ** Prusy, ** Warmia i Mazury/Prusy Wschodnie, ** Granica na Odrze i Nysie. Ale też grupy i kategorie ludzi, jak ** Folksdojcz czy ** Krzyżacy, oraz wydarzenia – ** List biskupów polskich i niemieckich, a nawet ** Bolek i Lolek oraz Piaskowy Dziadek (czyli niemiecki Sandmännchen).

Wydawnictwo Scholar, którego nakładem „Miejsc...” się ukazały w Polsce, przekonuje, że to dzieło klasy europejskiej. Bezprecedensowe nawet w skali kontynentu. To źródło wiedzy o polsko-niemieckich dziejach i wprowadzenie do nowego postrzegania historii obu krajów, bez narodowych schematów. Jest też dziełem pionierskim, pokazującym, jak dzisiaj może być pisana historia Europy.

Dzięki esejom autorów dzieła – a jest ich aż 117 z sześciu europejskich krajów poznajemy kulturę obu narodów oraz to, co je dzieli i łączy. To szczególnie istotne, bo naukowcy wychodzą z założenia, że nie da się w pełni zrozumieć historii własnego kraju, nie znając historii drugiego.

Rozmowa

Tomasz Kurs: Polsko-niemieckie miejsca pamięci to dzieło monumentalne, ale z racji naukowego charakteru zapewne nie dotrze „pod strzechy”.



[3 ZDJĘCIA](#) Prof. Robert Traba TOMASZ WASZCZUK

Robert Traba*: Najbliższa przyszłość pokaże, jaka jest rzeczywista percepcja „Polsko-niemieckich miejsc pamięci”. Ruszamy z redaktorem Adamem Krzemińskim na cykl spotkań, najpierw z warszawskimi nauczycielami, potem do Szczecina, gdzie pod auspicjami tamtejszego marszałka województwa odbędzie się polsko-niemiecka debata. W planach są kolejne miasta – Gdańsk, Lublin, Kraków... Niestety, w Olsztynie długo nie było zainteresowania, ale na szczęście niedawno odezwał się w tej sprawie nasz uniwersytet. A czas na debaty jest bardzo dobry, bo podczas gdy w życiu publicznym poszukuje się wroga, by cynicznie zbijać na tym kapitał polityczny, my próbujemy pokazywać zgubne mechanizmy takiego myślenia.

Według pana i prof. Hahna „miejsca pamięci” to symbole, zdarzenia, postaci czy artefakty z przeszłości, które współtworzą we wzajemnym oddziaływaniu polskie i niemieckie tożsamości narodowe. Które z tych miejsc – pana zdaniem – najbardziej wpływają na dzisiejszą polską rzeczywistość?

– Nie dysponuję żadnymi miarodajnymi badaniami na ten temat. Z pozycji obserwatora zajmującego się pamięcią społeczną wydaje mi się, że spośród 100 analizowanych przez nas

miejsce pamięci zdecydowanie w Polsce dominuje „targowica” jako metafora zdrady oraz generalnie „Niemcy” jako symbol wroga. Dzisiejsza interpretacja targowicy w wykonaniu publicznych i prawniczych mediów oraz polityków zmierza do wyeliminowania politycznych konkurentów: skoro „oni” są zdrajcami, to „nie należą do narodu polskiego”. Można więc, albo wręcz należy, ich usunąć z życia publicznego jako szkodników. [Jarosław Kaczyński w Olsztynie, podczas zeszłorocznej konwencji PiS, dołożył jeszcze jedną warstwę interpretacyjną zdrady. To ojkofobia](#), antyczne określenie tych, co nie lubią własnego domu, czyli ojkos (czytaj dziś: ojczyzny). W praktyce to ci, którzy nie zgadzają się z historyczno-narodową wizją partii, są na przykład krytycznymi patriotami, a więc też zdrajcami.

Nadal, choć w ostrej konkurencji do tzw. żołnierzy wyklętych, popularnym miejscem pamięci jest też „powstanie warszawskie”, jako symbol bohaterstwa i zwycięstwa idei nad doraźnymi celami politycznymi. Powstanie warszawskie też w Niemczech jest dziś najbardziej znanym z polskich doświadczeń II wojny światowej.

Pokusa wykorzystywania tych miejsc w doraźnej polityce jest wielka. Tragicznie zmarły prezydent Gdańska często był wskazywany przez przeciwników jako ten, który realizuje niemiecką politykę i interesy, wręcz pomaga zatrzeć niemieckie zbrodnie. Długo jeszcze nazywanie kogoś Niemcem lub Niemców sojusznikiem będzie wykorzystywane jako epitet?

– Generalnie żywym, emocjonalnie negatywnie zabarwionym miejscem pamięci w Polsce są właśnie „Niemcy”. To synonim wroga, z perspektywy tysiącletniego sąsiedztwa – fałszywy, ale w głowach realny. Mit odwiecznej wrogości, na którym ciągle można zbić bieżący kapitał polityczny, cynicznie wykorzystując tragiczne doświadczenie brutalnej niemieckiej okupacji Polski.

Ta interpretacja zdrajcy, czyli wroga, dotyczy również Żydów.

– Ona ma jeszcze inny wymiar, wpleciony w tysiącletnie sąsiedztwo wewnętrzne i uniwersalny, chrześcijański schemat negatywnej recepcji Żydów. W Polsce przeplatał się on od obopólnej fascynacji po rosnący antysemityzm. Na wieki do wyobraźni zbiorowej trafiła legenda Esterki – ukochanej Kazimierza Wielkiego czy rabina Saula Wahla, legendarnego, jednodniowego króla Polski z 1587 roku. W miarę rosnącego antysemityzmu, zapominano o żydowskim wkładzie w polski ruch niepodległościowy. Żydzi – o czym w pięknym eseju przypominał Stanisław Vincenz – fascynowali się polską kulturą tak dalece, że nawet niektórzy chasydzi chcieli się uważać za jej część. Być może najtragiczniej polskie zaplątanie się w losy żydowskie symbolizuje postać św. Maksymiliana Marii Kolbego, wydawcy jawnie antysemickiego „Rycerza Niepokalanej”, który w 1941 roku w Auschwitz oddał życie za innego współwięźnia.

Dziś próbuje się polski antysemityzm wyprzeć poprzez przywoływanie bohaterstwa Polaków ratujących Żydów w czasie niemieckiej okupacji. To oni mają symbolizować „prawdziwych Polaków” w przeciwieństwie do „marginesu”, który współuczestniczył w nagonkach, pogromach i zabijaniu żydowskich sąsiadów. Nie chcę teraz wnikać w uproszczone i z gruntu chybione porównania liczb „dobrych” i „złych” Polaków. Z doświadczeń badawczych nad pamięcią wiem, że jest to zła droga przepracowywania własnej przeszłości. Chciałbym, żebyśmy ucząc się budować społeczeństwo dialogicznej pamięci, wyrzekli się myślenia w kategorii „propagandy wstydu” i podjęli wyzwanie zmierzenia się z całością naszych doświadczeń. Dopóki „Żyd”, „antysemita”, „komunista” czy współczesny „imigrant” i „gej” traktowani będą jak obcy, zagrażający wyimaginowanej, czystej polskości, a nie jak

immanentna część naszej, polskiej kultury, dopóty w publicznych dyskusjach będziemy obracać się w sferze zwalczających się ideologii, a nie realnego sporu o przeszłość. Strategia budowania tożsamości w oparciu o wizerunek „wiecznego wroga” może przynieść jedynie krótkotrwałe, pyrrusowe zwycięstwa. Dziś próbuje się ten problem zamknąć w formule: „wszyscy jesteśmy winni mowie nienawiści”. Nie. Wzajemne polityczne inwektywy są naganne, ale nie są tożsame z biologicznym wręcz wykluczeniem jednostek i całych grup z zawłaszczanej politycznie „polskości”.



Prof. Robert Traba z tomami 'Polsko-niemieckich miejsc pamięci'

W państwa publikacji nadrzędnym przekazem jest przekonanie, że o wiele więcej nas – Polaków i Niemców – łączy niż dzieli?

– Bo to prawda. Taki jest racjonalny wymiar tysiącletniego sąsiedztwa. Tylko, co z tego? Pamięć wcale nie jest racjonalna. Dominuje doświadczenie II wojny światowej i ciągle jeszcze autentyczne wspomnienia o niej, ale też konfabulowana pamięć kulturowa, bazująca na negatywnych stereotypach. Pamięć podlega zawsze mechanizmom wykorzystywania do bieżących celów politycznych. W pewnym uproszczeniu można powiedzieć, że 90 proc. wspólnych doświadczeń było i jest inaczej interpretowanych w Polsce i Niemczech. Ponad połowa przywoływanych miejsc pamięci dotyczy wydarzeń z XX wieku. A z nich ogromna część koncentruje się na doświadczeniu II wojny światowej. Kuriozalny i znamieny jest przykład bitwy pod Legnicą, o której tylko z trudem dzisiaj sobie przypominamy, że miała miejsce w 1242 roku. Ale dwukrotnie próbowano ją wykreować jako wspólne polsko-niemieckie miejsce pamięci. Raz w okresie, kiedy w Niemczech rządili narodowi socjaliści, a w Polsce panowały popiłsudczykowski rządy pułkowników. I drugi raz na fali pojednania na

przełomie lat 80. i 90., kiedy szukano genealogii polsko-niemieckich sojuszy. Jeden fakt, o wcale nie tak wielkim znaczeniu, a pokazuje jak w soczewce, jak zwodnicze jest granie symbolami historycznymi.

A może wynika z tego, że wydarzenia z głębokiej przeszłości są łatwiejsze do akceptacji niż to, co miało miejsce stosunkowo niedawno?

– W ciągu trzech pokoleń pamięć żyje nie tylko w wymiarze publicznym, ale przede wszystkim w przekazie rodzinnym: od pokolenia dziadków – świadków bądź ocalałych ofiar, poprzez dzieci do wnuków. Siłą rzeczy wydarzenia doświadczane rodzinnie przeżywa się i pamięta bardziej emocjonalnie niż te sprzed 200 czy 300 lat. Łączą też nas uniwersalne mechanizmy pamiętania, na przykład poprzez niezależne od siebie kreowanie idei narodu niemieckiego i polskiego. Nie będę ich streszczał. Warto sięgnąć do jednotomowego wydania „Polsko-niemieckich miejsc pamięci”, które jest dostępne w internecie.

Po latach pewne polsko-niemieckie spory wydają się jałowe, a wręcz absurdalne, choćby ten o przynależność narodową Mikołaja Kopernika. Wyrośliśmy już z tego?

– Nie sędzę. Z nieprawdziwych skrajności, typu „polskie go wydało plemię”, jak w pierwszej połowie XIX wieku pisał Jan Nepomucen Kamiński, [wpadamy w zupełną banalizację problemu, skupiając się na ciekawostkach, w które wpisało się także sensacyjne poszukiwanie „prawdziwego” wizerunku Kopernika](#). Brniemy w takie iluzje, mimo że poważni badacze, jak Teresa Borawska czy Henryk Rietz z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, z przekonaniem pokazują pseudonaukowość takich poszukiwań. A co do narodowości Kopernika, tracimy szansę poważnego zastanowienia się, czym był „naród” w nowożytności. Zapominamy, że wtedy nie pochodzenie krwi a polityczność, dziś powiedzielibyśmy obywatelskość, decydowała o przynależności do „narodu Rzeczypospolitej”. I w tym wymiarze Kopernik był lojalnym poddanym króla polskiego i obywatelem wielonarodowej Rzeczypospolitej Obojga Narodów, choć z pewnością „nie wydało go polskie plemię”.

My, Polacy lubimy jednak myśleć, że wszystko zawdzięczamy sobie sami, a nawet uczyliśmy Zachód posługiwać się widelcem. Zapominamy łatwo o wkładzie innych. A przecież w szkołach dzieci uczą się, że proces zakładania miast, organizowania się społeczności, oparty był na „niemieckiej licencji”.

– No właśnie. I co z tego? Lubimy też pokazywać, jako dowód naszej polskiej otwartości, jak wielu Żydów czy Niemców akulturowało się do polskości. Tymczasem ci Polacy, którzy w drugim bądź trzecim pokoleniu „stawali się” Rosjanami czy Niemcami, są już „renegatami”, „zaprzańcami”, słowem zdrajcami. Cięży na nas, jak widmo, sienkiewiczowska fraza: „Jeśli ktoś Kalemu zabrać krowy, to jest zły uczynek. Dobry, to jak Kali zabrać komuś krowy”. Być może, gdyby nie ponad sto lat braku państwowości w XIX wieku, to natrętne udowadnianie swojej lepszości nie stałoby się tak znaczące w polskiej kulturze. Chyba najdobitniej, krytycznie, ale trafnie o tym fałszywym poczuciu niedowartościowania pisał Witold Gombrowicz.

Dla niektórych może to być bolesnym odkryciem, ale dla Niemców Polska nie jest wcale tak istotna i nie zajmuje tyle miejsca w ich świadomości, co w naszej Niemcy. Pewnym dowodem jest choćby malejąca liczba turystów z Niemiec.

– To prawda. Liczba turystów maleje, bo odchodzi pokolenie związane sentymentalnie ze swoją starą Heimat, czyli ziemią rodzinną, a także pokolenie byłych mieszkańców Warmii i Mazur. Powoli zmienia się więc wizerunek niemieckiego turysty zainteresowanego Polską. Coraz częściej są to ludzie młodzi, bez związków rodzinnych z naszym krajem. Faktem jest jednak, że pół wieku tzw. westernizacji Republiki Federalnej Niemiec, czyli zwrócenia się zdecydowanie na Zachód, ma jeszcze swoje konsekwencje. Medialnie Polska pojawia w Niemczech, ale głównie, gdy w Polsce dzieje się coś nadzwyczajnego, na przykład obecnie. Proszę zwrócić uwagę, że ani „Der Spiegel”, ani „Die Zeit” nie wpadły na pomysł wydania dodatku na podstawie „Polsko-niemieckich miejsc pamięci”, bo jest to poza sferą zainteresowania masowego odbiorcy. Z drugiej strony w środowiskach naukowych ukazało się ponad 20 recenzji tej publikacji, w najbardziej prestiżowych periodykach. Przebijamy się raczej do środowisk elitarnych i przekonanych przyjaciół. Ale proces zmiany trwa, w czym pomaga rosnąca obecność polskiej literatury, filmu czy aktywność tak ważnych wydawnictw, jak Schöningh, czyli niemieckiego wydawcy naszego dzieła.

Zarówno w Polsce, jak i w Niemczech, z historią ciągle trzeba się mierzyć i nie zawsze są to próby zwycięskie. Przykładem spór o Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, ale także serial „Nasze matki, nasi ojcowie” w niemieckiej telewizji ZDF, który był krytykowany w Polsce chociażby za pokazanie polskiego antysemityzmu. Czy jesteśmy w stanie stworzyć wspólną i spójną wizję naszej przeszłości?

– Przepraszam, ale tym pytaniem wpadamy w powszechnie powtarzaną naiwność. Cały dorobek „Polsko-niemieckich miejsc pamięci” polega między innymi na tym, że udało się nam stworzyć teoretyczno-metodologiczny konsensus, na bazie którego polski publicysta i francuski historyk mogli pisać o powstaniu warszawskim, niemiecki historyk o kampanii wrześniowej, polski germanista o wysiedleniach Niemców, a włoska germanistka i polsko-włoski historyk o Monte Cassino. Ale oczywiście, że kolejni autorzy mogliby te miejsca pamięci opisać inaczej, bo również na dialogu polega postęp w badaniach historycznych. Nikt jednak nie może



zarzucić, że teksty napisane zostały tendencyjnie czy nierzetelnie. Pokaże mi pan polską, jedyną i niepodważalną wersję historii. Nie ma takiej! Co innego jest natomiast z interpretacją przeszłości w przestrzeni publicznej. Do nich należy wyemitowany w 2013 roku film „Nasze matki...”, największy hit wśród filmów historycznych w niemieckiej telewizji od lat. Jego podstawowa słabość, według mnie, nie polegała jednak na skrzywionym obrazie stosunku Armii Krajowej do Żydów. Tam wylansowano tezę, oczekiwaną przez dużą część niemieckiej publiczności, głównie tej w wieku 40+, że to źli naziści i samo w sobie okrucieństwo wojny są sprawcami zbrodni. Parafrazując, „ich matki i ojcowie” ulegli po prostu obiektywnemu złu. To bardzo uproszczona i wręcz niebezpieczna konstrukcja interpretacyjna, bo zwalnia większość z obowiązku dziedziczenia ciemnej strony własnej historii.

Sami mamy też problem z przyjęciem czytelnej narracji związanej choćby z rocznicą odzyskania przez Polskę niepodległości. Trudno przecież mówić o powrocie Warmii i Mazur do macierzy, skoro 100 lat temu były tu nadal Prusy Wschodnie. Nasza historia wymyka się łatwym schematom i nadal trudno ją opowiadać. Może powinniśmy więc wykazać się wstrzeźliwością i pozostawić to zadanie naukowcom?

– Wręcz odwrotnie. Historię trzeba ciągle opowiadać, dopowiadać, otwierać nowe perspektywy jej recepcji! Inaczej stanie się ideologią raz na zawsze ustanowioną. Mogą to robić nie tylko historycy. Cenię pisarskie inspiracje Stefana Chwina, Olgi Tokarczuk, Joanny Bator czy bliskich nam w Olsztynie Kazimierza Brakonieckiego i Włodzimierza Kowalewskiego. Lubelski historyk, Piotr Witek, napisał wielką rozprawę o Andrzeju Wajdzie jako historyku. Podobną można byłoby napisać o zmarłym niedawno Kazimierzu Kutzu. Oni nawet szybciej i trafniej są w stanie coś zauważyć i opowiedzieć, niż „szkiełko i oko” profesjonalnych badaczy.

W takich miejscach jak dawne Prusy Wschodnie, czy inne ziemie należące do 1945 roku do Niemiec, interesująco wyglądał proces przejmowania ich przez Polskę, osławiania tych terenów z Polską. Władza ludowa starała się udowodnić, że ziemie te są nasze, a niemieckości trzeba się pozbyć – od nazewnictwa miejscowości i ulic, po proces wysiedlenia autochtonów. Co przysporzyło wówczas najwięcej problemów?

– My dziś często ironizujemy i bez historycznego wyczucia oceniamy dokonania pionierskich pokoleń. To wynika z bezradności wobec wielkich procesów społecznych po II wojnie światowej. Nie zapominajmy, że skala przeobrażeń demograficzno-kulturowych na polskich ziemiach zachodnich jest wyjątkowa na tle powojennej Europy. Objęły one ziemie wielkości porównywalnej ze Szwajcarią, Grecją czy Austrią. A my wpadamy w upraszczający klincz między tym, że wielka przemiana dokonywała się w procesie legitymizacji nowej, komunistycznej władzy i nacjonalistycznej tradycji polskiej myśli zachodniej. Ginie w tym perspektywa człowieka, który w obcej przestrzeni musiał sobie zupełnie na nowo zorganizować i uporządkować nowy świat swojego życia. To „odzyskanie” było jedną z psychologicznych strategii zadomowienia. [Nie niszczone niemieckiej spuścizny tylko z powodów ideologicznych](#), lecz dlatego, że chciano przywrócić otoczenie i krajobrazy tak, by były bliskie opuszczonej ziemi rodzinnej.

Do dzisiaj trudno się jednak niektórym uporać z historią związaną z konkretnymi miejscami w naszej „odzyskanej” okolicy. Przykładów jest aż nadto. Obelisk Bismarcka w Nakomiadach, z którym po jego odkryciu nie wiadomo było, co zrobić, ślady po mauzoleum Hindenburga w dawnym Tannenbergu pod dzisiejszym Olsztynkiem, których władze nie chciały nawet przebadać, pozostałości po niemieckim obozie Stalag I B, też w Olsztynku, które zostały zrównane z ziemią przy okazji budowy obwodnicy miasta, a nawet tablice z nazwiskami poległych w I wojnie światowej, które wielu kłują w oczy... Można znaleźć dobre rozwiązanie i mądrą narrację, by tych problemów i kontrowersji uniknąć?

– Oczywiście. Obie strony mają do odrobienia swoje zadanie. My, po pierwsze nie powinniśmy bać się naszej historii. Ona najczęściej wpisuje się nie tylko w relacje bilateralne, lecz również europejskie. Niemcy natomiast nie mogą się ograniczać do poszukiwania sentymentalnych śladów tylko własnej przeszłości, sielskich obrazków, pałaców i dworów, historii wysiedleń itp. [Do ich historii należy również tragiczna historia Stalagu I B w Olsztynku](#) czy obozu przejściowego (Durchgangslager Soldau) w Działdowie. Problemem jest, że my sami sobie z tym nie radzimy i zupełnie niepotrzebnie zagłaskujemy te opowieści przed niemieckimi turystami. [Nie mówiąc już o tym, że w sposób zupełnie niedopuszczalny zniszczyliśmy setki artefaktów po olsztyneckim obozie](#), gdzie zginęło przecież około 50 tys. jeńców, liczba porównywalna z ofiarami KZ Stutthof. Chwała więc lokalnym inicjatywom, że powstało w ratuszu w Olsztynku ciekawe muzeum, które tę historię obozu przechowuje. Takiego szczęścia nie ma Wilczy Szaniec, być może dziś, poprzez ciągle obecny w internecie hollywoodzki film „Walkiria”, najbardziej rozpoznawalne miejsce na Mazurach. Nie istnieje dobra edukacja regionalna! A to jest zadanie nie tylko dla lokalnych entuzjastów i animatorów, lecz dla poważnych działań przynajmniej władz wojewódzkich, jeżeli nie centralnych.

Pozostaje więc pan optymistą czy jednak jest pesymistą w sprawie przyszłości wzajemnych relacji i stanu świadomości Polaków oraz Niemców?

– Pewnie chciałby pan prostej odpowiedzi? Ale takiej nie będzie. Bo scenariusze będą pisane w zależności od rozwoju praktyk politycznych. Osobiście duże nadzieje pokładam w

realizowanym międzyrządowym projekcie wspólnego podręcznika „Europa. Nasza historia”, drugim na świecie bilateralnym podręczniku do nauczania historii. Ma on potencjalne szanse trafić w identycznej postaci do szkół w Polsce i w Niemczech. Właśnie kończymy prace redakcyjne nad ostatnim, czwartym jego tomem, dotyczącym XX wieku.

Już zachęcam nauczycieli do poznawania pierwszych trzech tomów i zamawiania ich w wydawnictwie WSiP. To nowa perspektywa dydaktyzacji historii w szkołach i dowód, że Polsko-Niemiecka Komisja Podręcznikowa z powodzeniem realizuje swoją misję od ponad 40 lat! Drugą nadzieję pokładam w potencjale obywatelskim. Mamy całą sieć dobrze funkcjonującej wymiany miast partnerskich, rozwiniętą współpracę szkół i organizacji pozarządowych. Na tej bazie powstały też liczne kontakty prywatne. Mimo narzekań w Polsce Niemcy są największym odbiorcą polskiej literatury, powstaje wiele bilateralnych projektów artystycznych. Tego potencjału nie da się zniszczyć, nawet agresywną, tendencyjną polityką.

* Robert Traba, historyk, politolog; profesor ISP PAN w Warszawie; przewodniczący Polsko-Niemieckiej Komisji Podręcznikowej; w latach 2006-2018 dyrektor założyciel Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie; inicjator i współzałożyciel olsztyńskiego stowarzyszenia Wspólnota Kulturowa „Borussia

W zeszłym roku wydawnictwo Scholar wydało jednotomowy wybór z „Polsko-niemieckich miejsc pamięci”. Jest on dostępny za darmo [w internecie TUTAJ na scholar.com.pl](http://www.scholar.com.pl)



Polsko-niemieckie miejsca pamięci

redakcja

Robert Traba, Hans Henning Hahn
współpraca Maciej Górny, Kornelia Kończal